ROZMAITOŚCI.

Dnia 8. Sierpnia. № 32. Roku 1855.

KILKA RYSÓW Z ŻYCIA
Południowéj Ameryki.

Ustęp z dziennika podróży młodego Anglika.

I.

Nowy Orlean 3 kwietnia 18...

„Kochany Saint-Vrain!

„Przyjaciel mój pan Henryk Haller, je-„dzie do Saint-Louis dla rozrywki. Po-„staraj się więc, proszę cię, aby téj po-„dróży nie zbywało na rozmaitości i przy-„godach.

Twój Ludwik Wallon.“

Adres: „Pan Karol Saint-Vrain w ho-„telu *Plantatorów* w Saint-Louis.“

Opatrzony tym lakonicznym listem, który umieściłem w kieszeni od kamizelki, wylądowałem w Saint-Louis d. 10 kwietnia i udałem się prosto do hotelu *Plantatorów*.

Złożywszy moje rzeczy i umieściwszy w stajni ulubionego konia, którego ze sobą przyprowadziłem, zmieniłem bieliznę, i zeszedłem na dół, żeby się zapytać o pana Saint-Vrain.

Nie było go w Saint-Louis; odjechał był przed kilku dniami na brzegi Missuri. Był-to dla mnie przykry zawód, bo nie miałem żadnego listu rekomendacyjnego do Saint-Louis. Byłem zatem zmuszony czekać samotnie na powrót pana Saint-Vrain, który miał nastąpić w ciągu tygodnia. Dla zabicia czasu zwiedzałem miasto, jego mury i okolice, i codziennie robiłem konno dalsze wycieczki; paliłem masę cegar, wreszcie uciekałem się do *sherry* *), do czytania dzienników.

Zauważałem był w hotelu pewne towarzystwo młodych *gentlemenów*, którzy zdawali się być bardzo ściśle między sobą połączeni. Było-to widać grono przyjaciół, lubiących żyć dobrze i bawić się wesoło. Można ich było widzieć zawsze razem przechadzających się po ulicach miasta, razem też siadali zawsze u stołu, a mieli zwyczaj zostawać na swoich miejscach, choć się już wszyscy inni porozchodzili goście. Uważałem, że pili najdroższe wina i palili najlepsze cegara jakich można było dostać w hotelu. Jednem słowem ludzie ci zajęli całkiem moją uwagę. Uderzał mię również ca-

*) Napój orzeźwiający.

ły ich sposób postępowania; w obejściu ich było coś z szorstkości Indyanina, i z tego prawie dziecinnego *laisser-aller*, które tak charakteryzuje Amerykanina zachodniego.

Ubrani byli prawie jednako w cienkie czarne suknie; bieliznę mieli nadzwyczaj białą, kamizelki aksamitne i szpilki brylantowe. Faworyty nosili szerokie i starannie ułożone; niektórzy mieli też wąsy. Bujne włosy spadały im w puklach na ramiona. Większa ich część miała zwyczaj wywijać kołnierze od koszuli, i obnażać silne i ogorzałe na słońcu karki i szyje. Uderzający był także wyraz ich twarzy; nie były one rysami podobne do siebie, a jednak było między niemi jakieś podobieństwo, jakieś powinowactwo, które było niezawodnie skutkiem jednakiego u wszystkich zatrudnienia i wspólnego rodzaju życie.

Byliżby-to amerykańscy strzelcy? Nie — strzelec nie miewa rąk tak opalonych, a za to więcéj obciężać je lubi błyskotkami; kamizelkę nosi zwykle otwartą, a cały jego ubiór wyrachowany jest więcéj na efekt i ma pretensyę do niepospolitéj elegancyi. Zresztą strzelec nie ma powierzchowności tak szczeréj i otwartéj, bo za nadto jest przyuczony do roztropności. Gdy zatém ukaże się w hotelu, siedzi spokojnie i poważnie. Strzelec w ogóle jest-to ptak drapieżny i obyczaje też jego jak u drapieżnego ptaka są milczące i nietowarzyskie.

— Kto są ci panowie? zapytałem nareszcie raz mojego sąsiada u stołu, wskazując mu tych tajemniczych dla mnie ludzi.

— Są to *ludzie z łąk.*

— Ludzie z łąk?...

— Tak — kupcy z Santa-Fé.

— Kupcy!? powtórzyłem zdziwiony, nie mogąc na żaden sposób w mojéj myśli pogodzić takiéj elegancyi, z wyobrażeniem handlu i łąk.

— Tak jest, mówił daléj mój sąsiad — ten tęgi mężczyzna z dobrą miną, stojący w środku, jest Bent: Bill Bent jak go zwykle zowią; ten po prawéj stronie jest młody Sublette, a ten po lewéj Choteaus; ten zaś co najbliżéj nas siedzi jest poważny Jerzy Folger.

— Więc to są owi sławni *kupcy z łąk.*

— Tak jest panie.

Patrzyłem tedy na nich z wzrastającą ciekawością; oni także zwrócili na mnie uwagę, i spostrzegłem że byłem przedmiotem ich rozmowy. Nareszcie jeden z nich, młody człowiek, piękny i pełen wdzięku, odłączył się od swoich towarzyszy i przystąpił ku mnie.

— Czy nie pan przypadkiem zapytywałeś się tutaj o pana Saint-Vrain?

— Tak jest panie.

— O Karola?

— O Karola właśnie.

— To ja nim jestem, do usług pańskich. — Dobyłem mego listu rekomendacyjnego i podałem mu; przebiegł go szybko oczyma.

— Mój drogi przyjacielu, rzekł wyciągając ku mnie rękę z serdecznością — przykro mi bardzo, żeś mię nie zastał. Dziś rano dopiéro przybyłem od Missuri. Ale Valton prawdziwie nierozsądny,

że na adresie nie dołożył imienia Bill-Bent. Dawno tu już jesteś?

— Od trzech dni — przybyłem 10.

— O! mój Boże! i co téż ty robiłeś tutaj przez cały ten czas? Chodź, zaprezentuję cię. — Hola! Bent! Bill! Jerzy!

Za chwilę pobratałem się już zupełnie z całém gronem kupców z łąk, do których Saint-Vrain należał.

— Czy to piérwszy raz? — zapytał jeden z kupców, gdy wśród galeryi rozległ się odgłos trąby.

— Tak jest — rzekł Bent spojźrzawszy na zégarek. Mamy jeszcze dosyć czasu napić się czegoś przed obiadem. — Chodźmy.

Bent poszedł do salonu, a my wszyscy za nim *nemine dissentiente.*

Było to wśród wiosny. Młoda mięta właśnie puszczała, o którym to szczególe botanicznym, nowi moi przyjaciele zdawali się dokładnie wiedziéć, gdyż wszyscy zażądali miętowego ulepku. Przyrządzono nam i podano żądany napój, a zaledwieśmy go wypili, powtórne uderzenie trąby wezwało nas do stołu.

— Siadaj z nami panie Haller, rzekł Bent, — żałuję niezmiernie, żeśmy się nie poznali wcześniéj. Musiało ci się djabelnie przykrzyć samemu! To mówiąc zwrócił ku sali jadalnéj, i wszyscy poszliśmy za nim.

Nie widzę potrzeby opisywania obiadu w hotelu Plantatorów. Jak zwyczajnie główną jego podstawę stanowiły półmiski zwierzyny, bawolich języków, dzikich kur i wybornych żab z ilińskiego jeziora. — Daremniebym opowiadał drobniejsze szczegóły téj uczty, a to co po niéj nastąpiło, niewiem, czy opisać potrafię.

Przesiedzieliśmy wszystkich przy stole; wtedy zdjęto obrus, a my wzieliśmy się do regaliów, przy których popijaliśmy maderę, po 12 dolarów butelka. Jeden z moich towarzyszy pamiętał ciągle, aby nam jéj ani na chwilę nie brakło, tak, iż pół tuzina butelek zawsze było w odwodzie.

To pamiętam doskonale, — równie jak i to że za każdą razą kiedym brał za spis win i za ołówek, aby naznaczyć czego żądam na mój rachunek, spis i ołówek wydzierano mi natychmiast. Przypominam sobie daléj, że nasłuchałem się mnogich powieści o straszliwych przygodach z *Pawniami Kolomanchami*, *Czarno-nogami* i innemi dzikiemi, które mi się tak spodobały, że się zapaliłem do życia wśród *łąk.* Wtedy jeden z kupców zaproponował mi, czybym nie wziął udziału w jednéj z ich wycieczek?

Na ten projekt odpowiedziałem długą i piękną mową, z któréj w ostatniéj konkluzyi wypadało, że gotów jestem towarzyszyć moim nowym przyjaciołom w najbliższéj ich podróży.

Saint-Vrain oświadczył ze swéj strony, że stworzony byłem właśnie do tego rodzaju życia, czém mi pochlebił niezmiernie. Potém ktoś śpiewał jakąś hiszpańską piosnkę, z towarzyszeniem gitary, jeżeli się nie mylę; potém znów ktoś drugi zaintonował wojenny hymn Indyanów. Nareszcie wstaliśmy wszyscy i zaśpiewaliśmy chórem jakąś pieśń, któréj nigdy ani przedtém ani potém nie sły-

szałem. Co się następnie działo aż do drugiego rana, tego niepomnę, ale to pamiętam, żem się ze straszliwym bólem głowy obudził.

Zaledwie miałem czas przypomnieć sobie szaleństwa wczorajsze, gdy nagle drzwi się otwarły i Saint-Vrain na czele półtuzina moich wczorajszych towarzyszy wpadł do mego pokoju. Za niemi wszedł chłopiec niosący kilka szklanek obłożonych lodem, i napełnionych przezroczystym płynem koloru bursztynowego.

— Szklaneczkę *sherry*, panie Haller! zawołał jeden z nich, to najlepszy sposób odświeżenia się w jednéj chwili.

Wychyliłem duszkiem wzmacniający napój.

— Teraz mój drogi o sto procentu zyskasz na siłach, rzekł Saint-Vrain; — ale powiedz jeno mi, czy ty na seryo mówiłeś wczoraj, że się chcesz z nami puścić w równiny. My odjeżdżamy najdaléj za tydzień, a przykroby mi było tak prędko się z tobą rozłączyć.

— Ależ ja zupełnie mówiłem na seryo. Jadę z wami, tylko bądźcie tak dobrzy powiedzieć mi, w co się mam przysposobić na drogę.

— Nic łatwiejszego — kup sobie najprzód konia.

— No — konia mam.

— Tém lepiéj — więc kupisz sobie tylko stósowną odzież, strzelbę, parę pistoletów.

— Ale już dobrze, dobrze — to wszystko znajdzie się u mnie w zapasie, i nie o to się pytam... Oto każdy z was moi panowie, bierze ztąd jakieś towary do Santa-Fé, gdzie je sprzedaje za podwójną lub potrójną cenę. Ja mam w tutejszym banku dziesięć tysięcy dolarów; dla czegóżbym więc nie miał połączyć zysku z przyjemnością, i nie użył swego kapitału, jak wy swoich używacie?

— A dla czegóżby nie?.. to myśl wyborna!

— A więc moi panowie, kto z was będzie tak dobry pójść ze mną i udzielić mi swéj rady co do wyboru towarów, które najlepiéj popłacają w Santa-Fé, za tego zapłacę wino przy obiedzie; a zdaje mi się, że to dostateczne będzie wynagrodzenie...

Kupcy z łąk wybuchnęli śmiechem głośnym, i oświadczyli jednozgodnie, że wszyscy pójdą ze mną do miasta. Po śniadaniu zatém, wziąwszy się za ręce, wyszliśmy z hotelu.

Nim jeszcze obiadowa godzina nastąpiła, nakupiłem znaczną ilość perkalików, długich nożów i zwierciadeł, zostawiwszy sobie tylko tyle pieniędzy, ile mi ich trzeba było na muły, wozy i najęcie poganiaczy w *Independance*, jako punkcie, z którego mieliśmy się dopiéro puścić we właściwe *łąki*.

W kilka dni potém płynęliśmy już w górę Missuri, a następnie wróciliśmy się ku łąkom, porzuciwszy drogi ciągnące się od wielkiego zachodu.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

ŻYWOT I PRACE ARTYSTYCZNE

ś. p. Józefa Brodowskiego,

wysłużonego Profesora byłéj Akademii sztuk pięknych w Krakowie.

Już rocznica śmierci ojca mojego minęła, a mnie dopiéro teraz podają okoliczności pióro w rękę: aby skreślić najgłówniejsze rysy życia artysty i profesora. Smutny ten obowiązek drażniący serce synowskie, uwalnia mię od sądu prac i utworów zmarłego, innym to zostawiając. Miłość moja ku ojcu łzą i niewygasłą pamięcią się w duszy zapisała — młodzież którą kształcił, wdzięcznością czci pamięć swego profesora — kraj szanuje imie zasłużonego — potomność sądzić będzie zdolność i stanowisko zmarłego artysty — synowi więc pozostaje: znotować tylko daty z życia najlepszego z ojców i tytuły prac jego, niby na tablicy grobowca zapisać. To też nieudolną ręką skréślić tutaj zamierzyłem, pisząc nie ku zabawie ale z obowiązku.

Około r. 1780 w Warszawie z rodziców, dawniéj w lepszém mieniu w Wielkopolsce zamieszkałych, urodził się ś. p. Brodowski. Data ta urodzenia o tyle zdaje się być prawdopodobną, o ile ją dowodzi znaleziona w zbiorach ś. p. Brodowskiego kopia tuszem zrobiona, dość znaczna i dokładnie wykonana, wyobrażająca dźwignienie Chrystusa wraz z krzyżem, a podpisana „przez Józefa Brodowskiego w Wiedniu r. 1797“. Pokazuje się zatém iż już wtedy był uczniem Akademii sztuk pięknych, a tém samém lat kilkanaście liczyć musiał.

Po stracie wczesnéj ojca, w osobie ojczyma sprawującego urząd Marszałka dworu Książąt Lubomirskich, zyskał Brodowski najprzychylniejszego mu opiekuna. Pobierając początkowe wykształcenie w szkole Pijarów w Warszawie, już ów chłopiec okazywał zdolność do malarstwa, samoucznie wystawiając to na szkolnym zeszycie to na murze, ówczesne wojsko polskie.

Księstwo Lubomirscy przenoszą się z burzliwéj zawieruchami Warszawy do Łancuta — tu przybywa z ojczymem i Brodowski, uczęszczając jako naturalizowany Galicyanin do szkół krajowych. Napróżno rodzice wskazują dlań stan duchowny, łając zapalonego rysownika, by czasu przy ołówku nietrwonił. Popęd wrodzony przemaga. Wtém z Księciem Adamem Czartoryjskim przybywa z Wiednia malarz Abel, uczeń słynnego Figera Dyrektora sztuk pięknych w Wiedniu. Oceniając zdolności i chęci młodzieńca, zostawił go Abel przy sobie w Sieniawie, gdzie cały dwór Książąt Czartoryjskich bawił, i wolne chwile poświęcał gorliwie ku wykształceniu przybranego ucznia; lecz ten, zachwycony pięknością malowniczych robót swego nauczyciela, pokryjomu korzystał z jego paletry i po nocach malował — co gdy spostrzegł p. Abel, farby pochował i najmocniéj polecił stopniowe, kilkoletnie najprzód ćwiczenie się w rysunku, przedstawiając: iż w przeciwnym razie, cały postęp może być skrzywiony, a talent zagubionym. Początkowe prace bardzo dokładne ś. p. Brodowskiego, przedstawione Księżnie Lubomirskiéj i przychylne zdanie p. Abla, sprawiły iż zacna ta dama wysłała go na swój koszt z wracającym do Wiednia owym czcigodnym nauczycielem, u którego przez parę lat ćwiczył się jeszcze w rysunku, a przytém uczył się dokładniéj niemieckiego języka. Gdy stosownych lat doszedł, za wpływem swego szanownego przewodnika, zapisany został jako krajowiec do Akademii sztuk pięknych w Wiedniu. Tutaj kształcił się przez 10 lat z małemi przerwami — a to wtedy, gdy cała młodzież wiedeńska do obrony stolicy została powołaną, a zatém i uczniowie akademii sztuk pięknych, pod wodzą Księcia Wirtemberskiego tworzyli oddzielny batalion, własnym wystawionym kosztem; za co następnie wszyscy zostali oznaką honorową, na ten cel ustanowioną, ozdobieni. Owe to wypadki wojenne stały na

zawadzie, iż najszczersze chęci JO. Księżnéj Lubomirskiéj, życzącéj sobie wysłać swego pupila do Paryża, następnie do Rzymu, spełzły — co jednak, o ile się dało, zastąpił biegły w sztuce malarskiéj, zacny profesor Lampi, mający sławę swą tak u dworu Ces. Austryackiego, jako też Ces. Rosyjskiego, jako malarz portretowy. Pod jego to ojcowskim sterem kończył naukę, gdyż wypadki wojenne w 1805 r. zmusiły go wrócić do Łancuta wraz z dworem Księżny. Tam przywiozł kopią Wan Dyka wystawiającą rodzinę Cesarza Karola V, którą to rzecz wykonał z wielką i zasłużoną pochwałą u swych nauczycieli i zacnéj Dobrodziejki swojéj; a obraz ten zachowała ona w zbiorze swoim w Łancucie. Tutaj począł piérwsze próby własnych układów olejnych, biorąc treść z dzieł scenicznych, które wystawiano na amatorskim teatrze w zamku łancuckim; z tych trzy znalazły bardzo dobre wzięcie i również zostały zachowanemi. W parę lat przybył do Krakowa z Ks. Czartoryjskimi jako nauczyciel rysunków i malarstwa do ich córek. Dom ten otworzył mu wstęp do najdostojniejszych rodzin polskich, przez co zyskał znaczną wziętość — a liczne lekcye, których gorliwie udzielał, oderwały go na czas, od osobistego ćwiczenia się w malarstwie.

Wejście wojsk polskich w r. 1809 było powodem, iż miasto udać się z Ks. Czartoryjskimi na Wołyń, pozostał w Krakowie; a znudzony jednostajnością swego powołania nauczycielskiego, pełen życia i czerstwości zdrowia, zapragnął szukać sławy na polu boju. Zapoznawszy się bliżéj z wielu oficerami i samym Jenerałem Dąbrowskim, oświadczył mu swoje chęci. Rozsądny ten i wytrawiony wojownik powstrzymał przecież jego wybujały zapał, oświadczając: iż talentem swoim więcéj zrobi przysługi ojczyźnie niźli pałaszem, bo do tego znajdzie się tysiące nierównie silniejszych ramion — w zawodzie zaś malarskim bardzo jest mało wykształconéj młodzieży. Posłuchał rad jego, lubo długo niemógł z tą szczerą ochotą się rozbratać i wrócić na łono tak ulubionéj przedtém muzy.

W r. 1811 dostał się na publiczną Katedrę rysunków w Liceum Ś. Anny w Krakowie. Jak to w owych wojennych czasach, niezastał tam prawie żadnych potrzebnych do swego przedmiotu zasobów — jedynie kilka rysunków tuszowych bardziéj do sztuki budownictwa należących. Obowiązany będąc, we wszystkich klasach z kolei, dziennie po dwie godziny udzielać rysunku, musiał od ręki robić wzory stósownie do uzdolnienia, a w miarę kształcenia się bardzo chętnéj młodzieży. Jak to słodko nieraz wspominał — pracował też i w późne nocy w domu, aby kontury głów rozmaitych, niegdyś z antyków wiedeńskich w pamięci zachowanych, mógł nazajutrz, jako wzory dla przychylnych uczniów dostarczać — znaczna ich część jeszcze się znajduje w zbiorach pośmiertnych. Mając dziennie około 150 uczniów, z których początkującym naprędce robił wzory, to znów innych poprawiał, czuł nieraz wielce znużoną rękę; — mimo téj mozolnéj pracy, przy wrodzonéj sobie wesołości, przypominał dopiéro swym przyjaciołom rozsądne szanownego Jana Dąbrowskiego rady, mówiąc: „Na cóżby się zdało moje ramię w usługach krajowych orężem, kiedy ono dziś przy kilkudziennéj pracy reisfedrem słabieje.“ A tak lubo miał niemało przykrości ze strony braku funduszów na potrzeby szkoły — ze strony władz niemogących się uorganizować z powodu ciągłéj wojny, wszelako z zamiłowaniem pracował, widząc ochoczą potemu młodzież. — Rok nareszcie 1815 zwiastował pożądany pokój; po tylu burzach zaistniała wolna, neutralna Rzeczpospolita krakowska pod opieką najprzychylniejszych Jéj wówczas sąsiednich Monarchów. — Zesłani z ich najwyższéj woli dostojni komisarze, ludzie pełni nauki, obudzili w ś. p. ojcu myśl, iżby w téj krainie cały obszar sztuk pięknych przytułkiem obdarzyć. Począł więc robić zabiegi, najprzód co do swego przedmiotu; a mając na myśli pięknie wykształconą akade-

mią wiedeńską sztuk pięknych, pragnął ziarno przynajmniéj zakorzenić. W tym celu znalazł wiele przychylności ze strony JOO. Komisarzy, mianowicie Pełnomocnika Jego Ces. Król. Austryackiéj Mości Swerts-Sporka. Plan jaki skréślił przyjęto z uwzględnieniem łaskawém. Lecz jak to w społeczném życiu nic niema bez przeszkód, tak i tu znaleźli się konkurenci do powstać mającéj katedry i o mało że nieprzemogła partya. Wysoka jednak komisya łagodząc wszelkie stronnictwa, wreszcie dla saméj konkurencyi w sztukach wyzwolonych, dogodziła obu stronom, i zasłudze i zabiegom, obrała dwóch profesorów do tego samego przedmiotu rysunkowo-malarskiego, z równemi prawami: mianowicie ś. p. Józefa Brodowskiego i Józefa Peszkę, człowieka równie uzdolnionego, ucznia ś. p. Smuglewicza, wysoko wykształconego malarza; lecz obadwa z różnéj szkoły — a gdy ś. p. Brodowski wzdychał do zaprowadzenia choć w przybliżeniu świetności akademii, z któréj wyszedł, znów znajdował przeszkody. Udało mu się jednak iż w r. 1817 wyrobił fundusz stały i kosztem Rządu udał się do Wiednia dla zakupienia antyków gipsowych, potrzebnych wzorów, sprowadził profesora rzeźbiarskiego ś. p. Riedlingera, a po śmierci tegoż sam parę lat zastępując bezpłatnie, zalecił ś. p. Schmelzera. Wyjednał na miejsce dla owéj w zarodku będącéj akademii sztuk pięknych — gmach po ś. p. Sierakowskim kanoniku, na rogu Grodzkiéj i Kanonnéj ulicy naprzeciw kościoła Ś. Jędrzeja. Opatrzony był ten dom o ile się dało okolistém światłem. Zapragnął jeszcze urządzić salę antyków, czego świadkiem znajdujące się korespondencye i planiki; lecz tego już dokonać niezdołał, zaledwo wyjednał jeszcze jednego profesora Anatomii malowniczéj i perspektywy w osobie p. J. N. Bizańskiego, jednego z najzdolniejszych swych uczniów. Usiłował utworzyć Towarzystwo sztuk pięknych jeszcze w latach 1827 i następnych. Z tego powodu skréślił Statut, w części jeszcze w rękopismie będący; nadto pragnąc do tego zachęcić ówczesnego Rektora akademii ś. p. Sebastyana Girtlera, ofiarował do Amfiteatru nowodworskiego z ramą portret tegoż w naturalnéj wielkości. Atoli zaszłe zmiany reorganizacyi W. M. Krakowa stanęły na przeszkodzie. Pogląd na nauki wyzwolone, inny zupełnie od poprzedniego, sprawił, iż zaledwo rozkwitać mającą akademią sztuk pięknych wcielono jako przedmiot rękodzielnictwa lub przemysłu do tak zwanéj nowo utworzonéj szkoły technicznéj.

Gorzkie wspomnienia przebijają się w pamiętnikach przez ś. p. Brodowskiego skréślonych, gdy tyloletnie usiłowania spełzły na niczém, i sam zmuszony został być wykonawcą téj smutnéj eksporty. Niestracił jednak nadziei; pragnął przynajmniéj aby i tu młodzież niezostała bez korzyści; a kiedy wyższe malarstwo się nieudało, postarał się zaprowadzić litografią w szkole technicznéj, czego koszta sam początkowo ponosił, które jednak zaledwo w części, po wielu zwłokach, zwrócono — nic dziwnego — bo téż często zarząd akademii był zmieniany.

Wreszcie po tylu trudach, przykrych i drażliwych zajściach znużony, niemógł już ani kilku lat dosłużyć do całkowitéj emerytury, ale w r. 18$^{39}/_{40}$ od obowiązków, *z wyrazem żalu, że ustępuje*, został uwolniony. Wszelako i w stanie spoczynku niemiał jeszcze spokojności — a to z powodu niemogących się ustalić praw emerytalnych, w skutku czego to większą to znów mniejszą z uszczerbkiem, bo ze zwrotem poprzednio nadbieranéj płacy, miewał pensyą; co niemało rujnowało skołatane zdrowie jego. Od r. dopiéro 1844 ustaloną mając emeryturę, żył nieco swobodniéj, oddając się ciągle prawie aż do samego zgonu pracom malowniczym — bo zaledwo przez parę tygodni przed zgonem upadłszy na siłach, pozostał bezczynnym i snem najspokojniejszym, ale téż wiecznym, to życie pełne trosk i mozołu zakończył o godzinie 3 z południa w dniu 8 grudnia 1853 r., przeżywszy o ile się zdaje lat około 70.

Celniejsze prace malownicze po ś. p. Józefie Brodowskim:

Oprócz w życiopisie wyrażonych kilka dzieł początkowych, kopiował w Wiedniu jeszcze kilka znaczniejszych o ile wspomina: *Westalki uciekające z Rzymu.* — *Czystą Zuzannę w kąpieli.* — Kilku *charakterystycznych starców* i inne. — Następnie w Krakowie robił: *Obraz Insurrekcyi w r. 1794* odbywającéj się porą wieczorną pod Ratuszem krakowskim, własnego układu, skréślony wedle opisu naocznych świadków, a zamówiony i uprzejmie przyjęty przez hr. Skotnicką. — *Widok piérwszego dziedzińca zamku krakowskiego* w czasie parady w dzień ś. Stanisława, wystawiający po raz piérwszy zaprowadzoną artyleryą konną zakładu hr. Włodzimierza Potockiego, robiony dla jego rodziny, wraz z portretem jego oddzielnym, obraz ten na drugą rękę znajduje się dotąd w zbiorze pośmiertnym. — Dwa *widoki zamku krakowskiego*, od prawego brzegu Wisły i od wzgórza ś. Bronisławy, dla domu Książąt Sanguszków; piérwszy z tych znajduje się również na drugą rękę w tymże zbiorze. — Duży obraz: *przedstawienia Krakusów Cesarzowi Napoleonowi I pod Droznem*, po walecznem onych popisaniu się. — *Widok uczty ludowéj na Skałce w dzień ś. Stanisława*, pozostaje w zbiorze pośmiertnym. — Również duży obraz: *przedstawiający ujęcie ranionego Kościuszki* pod Maciejowicami. — *Obrząd przy sypaniu mogiły* dla tego bohatera z wyobrażeniem urny, jaka się znajduje wewnątrz tejże. — Podobnież pozostały w zbiorze: *Widok baszt dawnych od ulicy Szewskiéj* z bramą tejże nazwy, ze sąsiedniem przedmieściem Piasek i odległemi wzgórzami ś. Bronisławy przed wysypaniem tamże mogiły Kościuszki. — *Kościoł P. Maryi* ze sąsiedniemi starożytnemi kamienicami, dziś we facyatach przemienionemi. — Dwie duże kopie z kopersztychów, olejno robione, wyobrażające *zgon Germanika* i *przybycie matki Koryolana* do jego obozu. — Kopia podobnaż z ryciny wystawiająca zwycięzkich *Ułanów ploskich pod Somosierą.* — Kopia przedstawiająca *Chrystusa przed Piłatem.* — Kopia malująca wewnątrz *więzienie ś. Pawła* i uprowadzenie go z tamtąd. — Kopia przedstawiająca *rodzinę hr. Ugolino* na zagłodzenie wskazaną. Wszystkie te kopie znajdują się w pośmiertnym zbiorze — nadto: Kopia *Wielkiego Ołtarza w kościele P. Maryi w Krakowie.* — *Wielki Ołtarz w miniaturze*, znajdujący się w oryginale w kościele ś. Piotra w Krakowie, oba własnoręczną pracą ś. p. Brodowskiego. — Z własnego układu *Sądny dzień Żydów*, obraz obecnie znajdujący się w oryginale w bibliotece Ossolińskich we Lwowie. — Równie jak w zmniejszeniu *własny portret* ś. p. Brodowskiego, przez samego wykonany w całéj postaci z paletrą przy swéj pracy. — *Herkules zabijający Hydrę maczugą*, obraz naturalnéj wielkości ofiarowany szkole malarskiéj w Krakowie. — Zamówione przez były Senat *portrety Trzech Najjaśniejszych Monarchów* Rzeczypospolitéj Krakowskiéj. Wreszcie *portrety* sławnego rzeźbiarza *Torwaldsohna* — śpiewaczki *Katalani* — oraz jéj męża *Walabryck* — małoletniego fortepianisty *Krogulechiego*, ofiarowane szkole malarskiéj w Krakowie. — Przytém mnóstwo prywatnych portretów, zwykle z zaszczytem przyjętych, w czém też największą sobie zjednał wziętość. — Wreszcie nieznużony do późnych lat w rysunku, obrabiał *widoki okolic Krakowa* i jego pojedynczych części z rozmaitych stron, czego liczne zbiory zajmujące dokładnością pozostawił. Niektóre z nich wodnymi kolorami odrobił, jako to: *dawne oszańcowanie bramy floryańskiéj*, z kilku stron. — *Widok najdawniejszych gmachów na Kazimierzu przy Krakowie.*

Pokój pamięci Jego! — prace niech świadczą o chęciach i gorliwości — zdolność, znawcy niech sądzą, stawiając artystę na tle czasu w którym żył i na tym stopniu, na jakim umiejętność i sztuka była u nas w chwili, gdy Jemu pędzel stał się udziałem.

Pisałem w Krakowie r. 1855.

Główny Redaktor **M. Szrzeniawa Sartyni.** *Z c. k. galicyjskiéj drukarni rządowéj.*